

Lidia Amejko

MEKA PAŃSKA W BUTELCE

Rozlega się stukanie laską o kamienny chodnik – Uriel idzie szybko, jednak laska nie służy mu do podpierania ciała, ale jest, by tak rzec, rytmiczną podporą jego słów i myśli: kontrapunktuje, przedrzeźnia, niekiedy zmienia swoją dźwiękową barwę i jakość, od metalicznej do drewniano-głuchej. Rodzaj emocjonalnego napięcia, jakie wprowadza, przywodzi na myśl rytm wybijany laskami przez muzyków flamenco. W tej części reżyser powinien darować sobie radiowy realizm i „partię laski” zlecić do opracowania kompozytorowi.

Poza tym, daleko w tle słyszczyć dzwony okrętowe, okrzyki komend na statkach, szum wioseł – to siedemnastowieczny Amsterdam.

URIEL Jestem... nie, nie, z pewnością byłoby powiedzieć: nazywam się! Tak, „nazywam się” brzmi lepiej. I niezobowiązująco! Nazywam się... *(milknie zakłopotany)* No cóż, myślę, że jednak „jestem” przenika głębiej w istotę sprawy. A więc jestem... jestem... *(wściekły uderza laską)* „Jestem” – „nazywam się”, „nazywam się – jestem”! O, Panie, gdyby tak jedno przywierało do drugiego równie ciasno i żarliwie, jak kolana Fransiny do moich pośladków... człowiek nie błędziłby tak straszliwie w poszukiwaniu prawdy o sobie! *(laska wybija jakiś paranoiczny rytm)* Gdyby tak jedno przywierało do drugiego... Ja i moje imię! Podążałoby za mną wszędzie, krok w krok, żeby potem, w dniu śmierci, położyć się na moim grobie i czekać w milczeniu na własne odejście. Moje imię i ja... za obietnicę zawartą w imieniu, stałbym się jego jedynym znaczeniem i własnością! Zawsze razem, jakby stworzeni dla siebie, zawsze nieomylnie odnajdujący się nawzajem, niczym łono Fransiny i mój... *(chrząka zmieszany. Pogardliwie)* Imię! Nam zostałyś imiona, a sobie.... Jakże ja Ci ryb zazdroszczę, tych srebrzyście rozświetlonych, tęczowych. A muszli, z wnętrzem jak zorza! A motyli! A chmur perłowych! Bo tak między nami mówiąc: cóż to za żenujące zajęcie – nadawać imiona! Jakby kto przywiązywał blaszankę do kociego ogona, żeby biedne zwierzę nie mogło się nigdzie ukryć!

Powoli uspokaja się; stukanie laską staje się miarowe, jak jego odech.

URIEL A zatem, dobrze: nazywam się! Nazywam się... kiedyś wolali na mnie „Gabriel”, ale od kiedy zmieniłem imię, stałem się „Urielem”. Uriel czy też Gabriel Da Costa. Ale jak kto powie do mnie „Acosta”, też nie będzie błędu.

Jestem... no cóż, jako chrześcijanin byłem Portugalczykiem, albo na odwrót, co wychodzi na jedno, choć najpierw, oczywiście, po rodzicach byłem Żydem, a potem dopiero Portugalczykiem, wszelako jako Portugalczyk (z naciskiem) siłą rzeczy zostałem chrześcijaninem, nie przestając być żydem, przez co okrzyknięto mnie marranem, a jako marran wolałem już ostatecznie zostać Holendrem, ponieważ tylko jako Holender mogłem być Żydem.

Byłem jeszcze filozofem i handlarzem, skruszonym buntownikiem i heretykiem znieważającym własne słowa, byłem... jakiś człowiek krzyknął za mną po portugalsku: „Patrzcie, kto idzie: Papa-Formigas! Papa-Formigas!” „Ojciec Mrówek”. Ze niby prawda o mnie rozlała się we wszystkie strony... (zatrzymuje się, nie słysząc łaski, cisza) Pewnej wietrznej nocy przyszła mi do głowy myśl, że dusza to nie może być nic innego jak tylko rodzaj żelaznego pręta, na który nadziewa się ochłapy ludzkiego życia, niczym kawałki rozmaitych mięs, aby je później wędzić „w dymie dni naszych”, jakby powiedział Psalmista. (chichocze, a laska wtóruje mu po swojemu) Bo czymże innym, jeśli nie solidnym żelaznym drakiem, dałoby się przyszpilić taką miałość jak istnienie? No, pomyśl tylko: jaki inny materiał spiałby w jedno tyle niedorzeczności? Miłość? Wiara? A może (aż bulgocze ze śmiechu) prawda? he? Nie, nie, Ty „żelazną różgą będziesz nimi rządzić”. (laska zgrzyta nieprzyjemnie po bruku) A potem „jak naczynie garncarza ich pokruszysz”!

Napisałem o tym traktat – traktat o materialnej i śmiertelnej duszy. Zostałem oskarżony i skazany.

Pod koniec życia, kiedy nie byłem już ani żydem, ani chrześcijaninem, Portugalczykiem czy Holendrem, nie buntowałem się i nie prowadziłem interesów, a samotność stała się ciężarem trudnym do udźwignięcia, za jedyną podporę służyła mi jedynie moja... (chichocze) Nie obraż się, Panie, ale używałem jej wyłącznie jako laski podczas długich spacerów po Amsterdamie, a dla rozrywki nabijałem na nią zeschłe liście i żaby.

W roku tysiąc sześćset czterdziestym zmodyfikowałem teorię Duszy Jako Żelaznego Pręta. Łydki Fransiny podskakiwały już na tyłku sędziego Houbrakena, a mnie kwietniowe powietrze kompletnie zmaciło w głowie. Zaczęło mi się здаwać, że dusza jest małą Ołowianą Kulą. Najpierw długo trzymałem ją w ręku, podziwiając kulistą gładkość i niewinność, potem zaś, nie wahając się zbyt, umieściłem w miejscu, które, jak wierzyłem, jest jej stałą siedzibą – w sercu. (rozgoryczony, z wyrzutem) I to miał być koniec mojej historii, Panie! Tak to sobie przecież wymyśliłem: żadnej nieśmiertelności, żadnego szwendania się... w zaświatach! Oprócz tego, tu (stuka laską) nie ma innego żywota! Nikt z nas nie przedłużył się w wieczność wiedziony Twoim pasterskim kijem, Panie! (krzyczy) Tak to sobie przecież zaplanowałem, i tak miało być! A jeśli Ty wszystko wiesz, to zapewne musisz wiedzieć i to, że mam rację! (miarkuje się) Taki byłby koniec mojej historii, gdyby... gdyby, nie... duszyczka. Ta, na której zwykłem być się wspierać podczas spacerów na Kalverstraat.

Uriel przystaje zakłopotany. Tymczasem zmienia się dźwiękowe tło: jest koniec dwudziestego wieku. Uriel stara się przekrzyczeć warkot śmieciarek i ogłuszające uderzenia prętem o kubły do śmieci.

URIEL Ta, na którą nadziewa się strzępy ludzkiego życia, żeby je potem wędzić „w dymie dni naszych”, jakby powiedział...

Gumajka, w za dużych kaloszach, człapie przez podwórko ciągnąc za sobą dziecięcą wózek wypełniony dobytkiem. W ręku trzyma metalowy pręt waląc nim bez umiaru o kubły i kontenery na śmieci.

GUMAJKA (krzyczy) Iiiijaaahoo! Z drogi, ścierwojady, z drogi, szczury i gołębie, bo Gumajka idzie! Zamykamy bufet dla wron i koraluchów, teraz Gumajka będzie

się tu gościć – będzie jadła, będzie piła, będzie się weseliła! Iiiijaaahoo! (przystaje) Ech, nie będziemy chyba tacy okrutni, co, Urielu? Na żyznym śmietniku każdy się pożywi! No, to posuńcie się odrobinę, śmierdzizadki, i zasiadźmy do stołu razem, w zgodzie i miłości! (grzebie w kubie prętem) Co my tu dzisiaj mamy? Pomóż mi, Urielu! O, zobacz tylko, jakie tu bogactwo. Syto jest! Skoro już zostaliśmy przenicowani na lewą stronę rzeczywistości – cieszymy się ze skarbów, jakie zsyła nam strona prawa. O, choćby ten kawałek, czy nie jest piękny? Szczególnie, jeśli spojrzeć nań o, tak... nie, może raczej z drugiej strony albo pod światło. Tak czy owak, Urielu, ten fragment, chwała Bogu, nie musi już być żadną tandetną sosjerką ani wazonem! Wyrwał się całości, a umknąwszy jej, nie ma już żadnych zobowiązań – wobec niczego i nikogo na świecie! Tak, tak, Urielu, każdy śmietnik jest pomnikiem wolności! Zostawmy tutaj naszego małego buntownika, chociaż powiem ci, że już, już, chciałem go schować sobie do torby. (wygrzebuje z kubła coś nowego) A to co? (śmieje się rubasznie) Patrzaj no, Urielu, jak to się szepiło miłośnię jedno z drugim, i ani myśli puścić! Wygląda mi to na ideę równości przorośnie pierzem i kocim gównem. Choć, prawdę rzekłszy, nos ma to-to jakby do bardzo cudzoziemski, nie uważasz, mój drogi? A nos, Urielu, to najczulsze miejsce każdej idei równości, sam dobrze o tym wiesz. Czasem idea może i najpiękniejsza, ale jak się nos nie zgadza, to... (bije prętem o kubek) Zaprawdę, powiadam ci, Urielu, że w tym kubie, pod zamkniętą pokrywą, dokonują się najbardziej wyuzdane i zuchwałe przenośnie, a rzeczywistość zażywa tu wolności, jakiej nawet Ty, o Panie nasz, Boże Wszechmogący, nie miałeś w czasie sześciu dni stworzenia... i dzięki Ci za to!

(znów zanurza pręt w śmieciach) O-ho! Tylko ostrożnie, Urielu, bo tu coś jakby...

(rozczulona) O, popatrz, jak to sobie śpi smaczno, niebożatko!

No, Urielu, nie ma co! Jamę w ziemi trzeba tu zaraz wydłubać, zanim się szczurzyśka dowiedzą, a z ciebie jest przecież grabarski szpadel pierwsza klasa. Tobie zaś, okruszku, damy imię, bo ci się należy, jak psu zupa. I nie byle tam jakie, ale mocne, lite, bo na co komu życie, choćby i najlepsze, kiedy mu nazwy brakuje. A wiesz ty, że jak się w dobre imię utrafi, to i z samego jego brzmienia taką nie barwną żywota można wysnuć, że ho, ho! (uradowana) Już wiem: będziesz się nazywał Ka-zi-mierz! (po chwili zawiedziona) Ech, nieboraku! Nie na ciebie ta kapota! Za duża, za zimna i jakoś tak zgrzyta pod zębami. A może: Waldzio? (powtarza, miękko, śpiwnie) Waldzio, Wal-dzio, Wal-dzii-ooo...

W strugach szarego deszczu, w małym okienku zamykanym na haczyk, twoja twarz mięknie i rozmywa się, zupełnie jak twoje imię. Kiedy przesuwasz palcem po wilgotnej szybie, palec woła do ciebie: „dziiii-ooo”! Coś mi się zdaje, że nigdy nie nauczyłeś się chodzić, w każdym razie nie tak, jak inne dzieci. Na starość zostałeś pisarzem, głównie, zdaje się, bajki o zwierzętach. „Odnowił gatunek” – mówili o tobie. Najlepsze były te o rybach i wodnych ssakach. I jeszcze, że „wyobraźnia bezbrzeżna” – ktoś napisał, co właściwie brzmi śmiesznie, bo ty przecież całe życie, tylko tyle, co w tym okienku...

(wraca do rzeczywistości) Skończyłeś, Urielu? No, to jeszcze kamieniem przywalić trzeba, niech odpoczywa w spokoju. A nam też się odpoczynek należy, bośmy spracowani i jeść się chce. (siada ciężko na porzuconej kanapie, aż jęczą sprężyny) A ty koło mnie, panie Gabrielu, o tu. Patrzcie no, ludziska, jaki mi się kawałek trafił osobliwy na stare lata! Leczą, Bóg mi świadkiem, że twardszego bym nie znalazła.

Zabiera się do jedzenia. Wygrzebuje z torby resztki pożywienia starannie owinięte papierami, workami foliowymi, zdarzają się i zakręcane stoiki. Próbuje to tego, to owego, potem zaczyna się pakować.

GUMAJKA (*właśnie skończyła jeść. Beka przeciągle*) Je człowiek, je, a w środku pusto! Jakby tam nic nie było, jakby już calutka dusza ze mnie wyszła! Kiedyś tak nie było, o, nie! Kiedyś to byłam taka pełna, jeszcze jak Rudolf żył. Ledwie się do mnie zbliżył, a zaraz mnie wzdymało, jak gumowy balon! Chodziłam wtedy taka radosna, ostrożna, a Rudolf się śmiał – „żeby cię wiatr nie porwał” – mówił, i owoce z targu mi przynosił, trochę tylko nadpsute. Ale potem, kiedy przychodziła moja pora, to coś, jakby westchnienie ze mnie uchodziło, takie cichutkie i słabe, że ledwie imię mogło sobą unieść. I tyle! (*bez przekonania*) Imię, dobra rzecz, i potrzebna – dla pamięci, więc zostałam mi z tego na koniec pęczek imion do niańczenia, a każde, mojego oddechu uczepione, wyżywić się chce! No, to gadam, bo co umarli mają z tego życia, oprócz mojego gadania! (*wstaje i rusza w drogę, a jej wszechstronna laska ciężko uderza o cementowy chodnik*) Tak sobie czasem myślę, Urielu, że samotność to musi być coś bardzo twardego i kanciastego, jak kawałek szkła albo może kamień. Pamiętam ten dzień, kiedy cię zobaczyłam pierwszy raz – taki piękny słoneczny dzień, nigdy tego nie zapomnę, bo Rudolf wtenczas, jak raz, u „Świętego Józefa” skończył. Raka dostał, mój Boże, to była jedyna rzecz, jaką w życiu dostał, a ja budzę się i czuję, że kamień mam w gardle, i myślę sobie: skąd on się tam wziął, ten kamień, czy w jedzeniu był, czy co? Ale zaraz coś mi mówi, tam w środku: Przecież to od Rudolfa ten kamień”. Więc poszłam zaraz, tego dnia, na wysypisko, żeby chociaż na buty do trumny nazbierać, a może i garnitur jaki by się trafił? Chodzę tak i chodzę, bo śmieci świeżutkie nawieźli, jeszcze pachnące domem, i widzę, ile się tam duszyczek poniewiera, połamanych, pękniętych, porzuconych – prawdziwy czyściec, myślę sobie. I że też nikt już dzisiaj tego nie potrzebuje, choćby na pamiątkę albo dzieciom pokazać? Aż tu patrzę i widzę, patyk jakiś leży czy drąg – leży sobie i wygląda wcale szlachetnie! Żadnej rdzy, solidny a gładki, że aż lśni! Ja od razu wiedziałam, Urielu, że ty z odległych czasów i stron tutaj przywędrowałeś, bo takich dusz, jak twoja, teraz już całkiem nie robią. (*pogdarliwie*) Tylko jedno-razówki! A w Ameryce to podobnie tylko papierowe, że niby środowiska nie psują i re... re... rezurekcja prostsza. (*krzyczy*) „A to ci dopiru, dusza z papieru” – Rudolf tak zawsze mówił. Rudolf... No, to jakim cię zobaczyła, Urielu, takiego opuszczonego na obcych śmieciach, to od razu wiedziałam, że będzie z nas para!

URIEL Ty, Panie, potrafisz dowodzić swoich racji (*mruczy obolaty*) w sposób niesłychanie dotkliwy! Ale ja się nie skarżę, a poza tym – i tak wyszło na moje! Dusza jest materialna i bynajmniej nie wieczna! (*spuszcza nieco z tonu*) No, może tylko czasem zbyt twarda i mało się zużywa, jeśli zrobiona jest ze szlachetnego materiału. Ale jaka bywa poręczna, sam zobaczysz: szczury gonić, w śmieciach grzebać, obcemu zagrozić – zdaje mi się, że jakby stworzona do tego!

A Gumajka wcale nie jest taka zła. Ma litościwe serce, a że czasami trochę... (*chrząka zakłopotana*) to przecież nie jej wina! To wszystko przez ten śmietnik: bez początku ani końca, góry ani dołu, ważnego, czy nie-ważnego; tutaj nawet chwile dodają się jak ziarenka piasku w klepsydrze. Wiatr wszystko miesza i roz-wiewa, fragmenty z najodleglejszych zakątków nieustannie zamieniają się miejscami, jakby chciały, choć przez chwilę, zakosztować bytu, jaki nie został im dany: ból zęba staje się zardzewiałą sklepową żaluzją, samotność – kamieniem. Dusza – żelaznym dragiem, a zmęczenie... zmęczenie jest w istocie ulicą Parkową na wysokości Bulwaru Olimpijskiego, kiedy wracamy tamtędy każdego wieczoru... Słyszałam raz, że dusza tego Bento, Barucha czy też Benedykta Spinozy dostała się na koniec, razem z całym inwentarzem, jego gospodyni, a ta nieuczona kobieta, niczego nie świadoma, używała jej potem przez wiele lat... jako szprycy do robienia lewatywy!!!

GUMAJKA (*przystaje na chwilę, żeby nabrać oddechu*) A jak ci się zdaje, Urielu: czy śmieci zostaną zbawione? Bo tu taki bałagan, wszystko leży na kupie, więc jakby się kto taki znalazł, co by oddzielił światło od ciemności, papier od metalu, a metal od szkła... kolorowego, to by od razu był porządek w odkupieniu. (*rusza, stukając głucho laską*)

URIEL To ten śmietnik, Panie! To on jest wszystkiemu winien! A Gumajka nie jest zła! Każdego dnia brodzi w śmieciach po kolana, szukając jakiegoś Ostatecznego Wiązania. Mozolnie przymierza do siebie wzajem krawędzie zdarzeń, ale one tylko prześlizgują się po sobie i nie dają zadzierzgnąć – takie są obojętne i obce w jej rękach! A czasem to coś takiego się z nią robi... sam nie wiem, jak to powiedzieć. Bije mną na oślep, tak mocno! Nawet szczury się jej boją! A co ona wtedy wykrzykuje, Boże ty mój! Ze wynikanie soboty z piątku nie jest aż tyle warte, żeby oprzeć na nim całe życie, że jej potrzeba czegoś naprawdę solidnego, czego mogłaby się uchwycić, czegoś nieśmiertelnego jak... (*urywa zmieszany*) Jedyna rada wtedy to znaleźć jej coś do picia... w ostateczności może być „dykta”. (*z godnością*) Tak, przyznaję się: ja, ja to robię. Kiedy nie ma innego sposobu, robię to dla niej!

Sypie się szklana tafla wystawowej szyby. Sygnał wozu policyjnego.

GUMAJKA (*śpiewa rozdzierająco*)

A kto da nam wódki chlać, chlać, chlać,

Temu damy z Kachną spać, spać, spać!

(*z głębokim przekonaniem*) Ty, to jesteś wielce uczoną laską, Urielu! A wiesz ty co? Jak jesteś taki mądry, to poszukaj mi czego do picia, bo... mi zimno. Tylko się pospiesz, bo już mną zaczyna trząść, taki nadciąga chłód. Ty, jak tylko zechcesz, to zawsze potrafisz coś wyszperać, w ostateczności może być... „dykta”.

URIEL (*zdenerwowany*) Nie, nie i jeszcze raz – nie! Żadnych więcej rozbojów! Ostatnim razem trzy tygodnie spędziłem w policyjnym depozycie. Już prawie straciłem nadzieję, że jeszcze kiedyś ujrzę światło dnia.

GUMAJKA No, ruszaj się żwawo, kochaneczku, bo wiesz...

URIEL ...A zresztą, może by się i tutaj coś znalazło?

Gumajka przewraca kontener na śmieci. Z przeraźliwego hałasu wylania się na koniec jedyny w swoim rodzaju dźwięk – butelki toczącej się po betonie.

GUMAJKA (*rozradowana*) Mówiłeś coś, lasko Aarona?

Butelka toczy się dalej.

GUMAJKA O-ho! Lubie, kiedy tak do mnie mówisz, podporo mojej starości! Proszę, proszę! Butelczyna jak się patrzy, może nieduża, ale za to ciężka! Ejże, Urielu, ona tam coś ma, w środku – pewnie okręt! To dobrze – okręt lubi pływać! A jak dziwnie zamknięta, odbić nie da rady. Chodź no tutaj, ty holenderski pogrzebacz, szyjkę „małpeczce” przetrącimy, lepek ukęcimy i wyrzucimy. (*przysuwa butelkę do oczu*) Czeka, no, Urielu, tam przecież wcale nie okręt, tam... świat! I góra jakaś stoi, i ludzie, tacy maleńcy, smutni, jakby na coś czekali! Jakby na czyjaś... śmierć!

Przerażona Gumajka wypuszcza butelkę z rąk. Butelka rozbija się z hukiem, lecz huk jest „nie z tego świata”. Zrywa się wiatr, zapada zmrok.

GUMAJKA (*krzyczy zrozpaczona*) Ja nic nie widzę, czemu tak ciemno? Urielu, gdzie ty jesteś? Urielu, nie zostawiaj mnie...

ŚRODEK

Wyje wiatr. U podnóża Góry usypanej z odpadków Longinus i Stefaton pracują przy transformacji śmieci. Wiatr wyrывa im z rąk kawałki papierów, toczy po ziemi metalowe puszkę i plastikowe butelki. Mężczyźni starają się złapać to i owo, i

umieścić, podług substancjalnego klucza, w którymś ze starych dziecięcych wózków. Zniecierpliwiony Stafaton próbuje złowić latające w powietrzu gazety swoją wótcnią rzymskiego setnika.

STEFATON Co za piekielny wiatr, Longinusie! Od kiedy tu stoimy, a będzie tego.... sam już nie wiem, nigdy takiego wiatru nie było! (szczerze zmartwiony) Żeby nam tylko czego złego nie nawiał. A ten tam, na Górze, z nich trzech najwyższy, nie wiesz przypadkiem, Longinusie, za co on tam wisi?

LONGINUS Najwyższy? A kto jego wie, za co? Mówią, że cuda robił w wolne soboty, ale czy to pewne? Przez ten wiatr, Stefatonie, trudno prawdę pochwycić, tak straszliwie rozproszyły się teraz przyczyny i skutki.

STEFATON A pewnie, że rozproszyły! Do gęby to tyle piachu mi nawiał, że choć jeszcze nie umarł, już mi się zdaje, że ziemię gryzę! (spluwa)

LONGINUS (ponuro) A skąd wiesz, że nie umarłeś? I czy jutro albo damy na to za trzy dni nie wstaniesz żywy i cały? Czas poszarpany tym przeklętym wiatrem jest jak popsuta pajęczyna – niczego już nie może złapać w swoją sieć. Zyjemy w przyczynkowo-skutkowej diasporze, Stefatonie! Resztki naszego życia rozlały się po cudzych biografiach, a przeznaczenie, które opuściło cię przed laty, nagle wręca jak gdyby nigdy nic, z obcym spojrzeniem w oku, skruszone chorobami i jeszcze skomli, żebyś je przyjął z powrotem! Koniec zupełnie pomieszał się z początkiem: kobiety rodzą teraz własnych przodków, zdarzenia rozpadają się w proch, zanim padnie jakiś „wystrzał z «Aurory»”, albo na odwrót, dawno pogrzebane i opłakane, jak widma wstają ze swoich grobów i krążą...

STEFATON (celując wótcnią w jakiś wirujący papier) Najgorzej, jak krążą...

LONGINUS Mówię ci, wszystko rozwłócone jak baranie jelita po rzeźnickim podwórku! I nie dałbym głowy, czy i sprawa tego tam, co najwyżej wisi, nie zaczyna się i nie kończy w dowolnym miejscu i czasie, zawsze i wszędzie, i... A co do prawdy, to nawet ona nie będzie mogła wystawić nam na koniec swojego świadectwa!

STEFATON Dlaczego?

LONGINUS Ponieważ prawda, Stefatonie, jest we wszechświecie miejscem nieskończenie małym i niepodzielnym jak ziarno piasku.

STEFATON Tfu! (spluwa z obrzydzeniem) Taka mała ona? To trudno ją będzie znaleźć, fakt! Chociaż... teraz sobie przypominałem, że tydzień temu, na Placu Mistycznej Jedności, widziałem tego malarza, Lulisa, jak do ziemi nachylony podnosił był właśnie pomarańczową ciagutkę. „Musiało jakieś dziecko” – mamrotał nieprzytomnie. Ciagutka owa, przyszyta potem do płótna, stała się zarzewiem płomiennoczerwonego obrazu, a Lulis chodzi teraz dumny jak paw i chwali się przed wszystkimi jakąś prawdą, która rzekomo tkwi w jego dziele. Może to ta, Longinusie?

LONGINUS (pogardliwie) A co to za prawda, co leży na ulicy jak psie łajno, i tylko uważać na nią trzeba, żeby się do butów nie przykleiła? Ja o takiej mówię, co była na początku, zanim się to wszystko z hukiem rozpękało, rozprysło, rozwiało, zanim zaczęło uciekać, jakby samo przed sobą! Ja o prawdzie piękno-dobrej mówię, nadobnej i miłosiemej, co się mieści w żrenicy oka; o takiej (skrada się w stronę metalowej puszki), którą byś jedną ręką ucałował... i czapkę nakrył!

STEFATON Nic z tego, Longinusie, porozłaziło się to-to jak mrówki, a każda inny kawałek prawdy niesie w swoją stronę. Kto by to teraz do kupy umiał zgarnąć, sam nie wiem.

LONGINUS A ja wiem! (poufnie) Słyszałem, jak Najwyższy tłumaczył swoim ludziom, żeby się nie martwili, bo on tu niedługo wróci, a razem z nim i wszechświat cały powróci do swego początku. Znów zostaniemy zamknięci w nieskończonej małej Prawdzie Punktowej – skutki przestaną szwendać się samopas w po-

szukiwaniu swoich przyczyn, bo wszystko będzie na miejscu, pod ręką. Żadnych wątpliwości!

STEFATON (z powątpiewaniem) Jeżeli wróci...

LONGINUS A wróci, wróci! Bo czas się kończy, Stefatonie! Bo już zupełnie przetrwiony został w pamięć, przez ludzkie ręce przesiany, przerobiony „na obraz i podobieństwo”! Wlecz się teraz ociężały w ogonie ostatniej komety, jako bezkresny śmietnik!

Najwyższy mówił jeszcze, że teraz najprzedniejszy z szatanów, co go nazywają Fabricator Fragmentorum, Twórca Fragmentów, zszedł między ludzi i kusi ich, żeby sięgnęli po część, a ta niechybnie nasyci ich całością; że pełnię prawdy z ułamka będą mogli wywieść, a byle jaki śmieć, odpadek, resztką nadgniła czy ogryzek, wysłużony frazes, strzęp przytulny, wszystko, wszystko, Stefatonie, może się dzisiaj przydać. Wystarczy tylko dobrze nadmuchać...

STEFATON (wybuchając śmiechem) Ależ to nie żaden fragmentorum ani szatan, tylko moja ciotka, Alma Wieherstall! Nie mówiłem ci o niej? Ta zająca kobieta żyła z rozdrabniania dziedzictwa Wieherstallów na kwadraty i trójkąty – wielkimi nożycami cięła suknie babek i mundury dziadków, cholewy i rękawice, czapki i czepki, sakwojaże i safianowe okładki książek, a kiedy już wszystko, co zostawili nam nasi przodkowie, zredukowane zostało do dwóch, nie najbardziej w końcu wyszukanych figur geometrycznych, ciotka zszywała ich krawędzie według siebie tylko wiadomego klucza i sprzedawała w renomowanych galeriach sztuki. Trzeba ci wiedzieć, Longinusie, że zawsze znajdowali się chętni na szlachetny materiał, nawet tak dziwnie przerobiony.

Kiedy, na koniec, cała tradycja – z braku lepszego określenia nazwę ją „miękką” – została przez ciotkę zgilotynowana, Alma niepostrzeżenie, lecz wcale zręcznie zaczęła włączać do swoich kompozycji resztki stołowej zastawy, wytłyskała szczołeczki do zębów, cynowe misy i staromodne kałamarze. Nie uwierzysz, Longinusie, jak bardzo ceny jej makat poszły wtedy w górę. „Ze względu na ogromny realizm”, jak mi wyjaśnił pewien krytyk sztuki.

Pamiętam, jak raz zastałem moją ciotkę zajętą komponowaniem trójkątno-kwadratowej wersji „Bitwy pod Grunwaldem”: wszystkie detale, łącznie z bronią, końską uprzężą i brodami rycerzy wydawały się zupełnie autentyczne, zwłaszcza po tej stronie obrazu, po której niegdyś walczyli Wieherstallowie. Pośrodku zostało jeszcze puste miejsce na konie, ale autorka, uśmiechając się tajemniczo, nie chciała zdradzić, jak zamierza rozwiązać ten problem. Dopiero z prasy dowiedziałem się przypadkiem, że „znana artystka, Alma Wieherstall, pochłonięta preparowaniem końskich zwłok, nasyciła okolicę tak potwornym smrodem, że zrozpaczeni sąsiedzi musieli się wystarać o policyjny zakaz «realizmu» w jej twórczości”. Powiem ci, Longinusie, że na koniec sama również pozbawiła się naturalnych konturów i, kawałek po kawałku, zniknęła we własnym dziele. „Biedny Vincent – mawiała zawsze – jedno ucho to za mało!” Od tamtej pory mogła być wszędzie i wszystkim, wszystkiego dotknąć i tym dotknięciem sprawić, by stało się od razu suche, martwe i kwadratowe. Myślę, że ona także szukała prawdy, ale to nie było żadne tam ziarenko piasku, o, nie! To była prawda, co się ją samemu zszywa dzień po dniu, własnymi rękami. Prawda, jak pełnia, bezgraniczna, co każdy fałsz potrafi sobą ogarnąć! Prawda, by tak rzec (natęży się, szukając odpowiedniego słowa) p ł a s k a! Tak, Longinusie, płaska, jak zredukowana do dwóch wymiarów, lecz w istocie nieskończona arcy makata!!!

LONGINUS (olśniony) To ja rozumiem, to jest prawda, a nie jakieś tam... (spluwa) I pracy by dla nas nigdy nie zabrakło! A ta Prawda Punktowa – oj, Stefatonie, żeby z tego jakiegoś nieszczęścia nie było! Taka to każdą przyjemność potrafi zepsuć, a i boleści może napytać.

STEFATON A pewnie, że tak! Ale sam przecież mówiłeś, że jak Najwyższy wróci, to wszystko będzie w jednym...

LONGINUS (*zdeenerwowany*) W jednym, w jednym! A mało nam było tego stania w jednej butelce przez tyle lat?

STEFATON A pewnie, że nie mało...

LONGINUS To teraz cicho siedź! I jeszcze ci powiem, Stefatonie, że ja się tak drugi raz uwięzić nie pozwolę, w żadnej prawdzie, żeby nie wiem jaka była... I nie dam sobie wędzidła z prawdy założyć, bo to jest jak paraliż albo nawet sama śmierć. A temu tam, co najwyżej wisi, też już wrócić nie dam.

STEFATON Najwyższemu? A jak to zrobisz?

LONGINUS A tak, jakem to robił przez tysiące lat w butli zamknięty – tak teraz, i na zawsze, i na wieki wieków! (*z desperacją*) Podaj mi włócznię, Stefatonie!

STEFATON (*zdeenerwowany*) Kiedy nie mogę jej znaleźć, gdzieś się zapodziała! O, tu chyba coś leży, w tej kupie cuchnących szmat...

LONGINUS (*histerycznie*) Pospiesz się, Stefatonie, żeby nie było za późno! Ja się już w żadnej prawdzie zamknąć nie pozwolę! Uwięzić się nie dam, nie dam...

ZAKOŃCZENIE

Wiatr cichnie. Gumajka mamrocze pijana.

GUMAJKA Nie dam! No, puszczaj, mówię, puszczaj! Nie dam ci go, złodzieju! (*krzyczy*) Na pomoc! (*odzyskuje świadomość*) Jesteś, Urielu? Bo miałam sen, że mi ciebie chcieli ukraść... Urielu!? (*szuka dookoła*) Mocna była nalewka! Urielu! *Słychać kroki i powolne, dostojne stukanie laską.*

GUMAJKA Wróciłeś! A toś mi piękny pan! A jak szumnie ubrany! Czy to naprawdę ty? Ja wiedziałam, że ty kiedyś wrócisz, ale że taki... elegancki, to nie wiedziałam.

URIEL Witam cię, Gumajko!

GUMAJKA (*z lękiem*) A po coś ty tu właściwie przyszedł, taki wystrojony? Czy ja... Czy to już?

URIEL Powiedział, że czas się skończył, Gumajko. Teraz każdy musi odnaleźć to, co zgubił albo wyrzucił przez nieuwagę...

GUMAJKA No, to się teraz robi tłok na wysypisku! I porządek będzie na świecie! Każda rzecz wróci na swoje miejsce, wszystko będzie takie nowiusieńkie, użyteczne i wcale nie popsute... (*markotnie*) Tylko że jak już całkiem nie będzie śmieci, to Rudolf nie będzie miał dokąd wrócić! On tu był zawsze, na śmieciach go znaleźli. W pudełku od butów.

URIEL To przykre!

GUMAJKA A jak pudełko wróci na swoje miejsce w sklepie obuwniczym, to zupełnie nie będzie miejsca dla Rudolfa na tym świecie. Zawsze tak było – myślałam, że chociaż po śmierci będzie jakaś sprawiedliwość. (*placze*)

URIEL No, uspokój się, moja droga! Ja już muszę iść. Zabieram tę moją... Popatrz, jeszcze całkiem, całkiem... (*z dumą*) Toledańska stal!

GUMAJKA (*przestraszona*) A ty dokąd, Urielu?

URIEL Do Amsterdamu! Napiszę refutację własnego traktatu o śmiertelności duszy, odwołam wszystko! Potem napiszę nowe dzieło. Będzie nosiło tytuł „Dusza ludzka i jej substancjalna długowieczność” albo coś w tym rodzaju. Zastanawiałem się jeszcze, czy w nowej sytuacji nie powinienem również zmienić imienia?

GUMAJKA Chcesz mnie tak zostawić? Nie, nie, Urielu, posłuchaj tylko: tyle czasu byliśmy razem, no, powiedz, czy było nam źle? A teraz chcesz się sam błąkać po ulicach tego swojego Am... Am... I kto tam będzie gadał do ciebie dzień i noc?

URIEL No, nie wiem, czy...

GUMAJKA (*gorączkowo*) A jeśli chodzi o tego... no, wiesz... o „dyktę”, to ja już ani kropli więcej, przysięgam! Tobie, mój kochaniutki, gospodyni jest potrzebna! Ooo, bo ty mnie jeszcze nie znasz, Urielu: ja i gotować potrafię, i poprać, a w życiu porządek najważniejszy. Każda rzecz musi być na swoim miejscu... a moje miejsce jest przy tobie!

URIEL Hm, cóż, ostatecznie...

GUMAJKA (*rozradowana*) Wiedziałaś, że mnie tu nie zostawisz! No, to w drogę! Gumajka zbiera swoje rzeczy, Uriel podaje jej ramię. Oboje odchodzą w siedem nastowieczny Amsterdam. Stuka Urielowa laska, słychać dzwony okrętowe, mewy. Gumajka nie przestaje gadać.

GUMAJKA A imię to w rzeczy samej powinienś sobie sprawić całkiem nowe. Może... Rudolf? Ech, co ja głupia gadam, jaki Rudolf, przecież ty w ogóle nie wyglądasz na Rudolfa! A imię to musi być prawdziwe!

URIEL Prawdziwe?! Chcesz powiedzieć, że ja mam jakieś... prawdziwe imię?

GUMAJKA No pewnie! Każdy ma, takie jedno, co na nim Boskie tchnienie, dźwiękiem, jak ostrzem, w duszyczkę przykrojone wnika w ludzkie ciało i tam sadowi się wygodnie; co potem człowieka niesie przez życie, jak nocny okręt, a nie byle łódeczka, którą pierwsza burza roztrzaska; i jeszcze takie, co nie składa fałszywych obietnic, a jak je dobrze wypowiedzieć, to i całe życie można z niego wysłyszeć! Ty chyba nie myślisz, Urielu, że na mnie całe życie wołali Gumajka? Też coś! (*prycha pogardliwie*) To było dobre tam, na śmieciach, ale teraz to co innego! Naprawdę mam na imię... (*szuka w myślach*) chyba... hm... może Regina? Tak, Regina (*delektując się*) Regina, Reginka, Regin-ka, ka-ka-ka-ka! Słyszysz, Urielu? To stukają moje cieniutkie obcasiki, mogłam być kelnerką, to niewykluźnione. Szef zawsze mi mówił, że obcasy są niezgodne z przepisami, ale co tam! Najważniejsze, że nogi są wtedy dłuższe. A to ciche: gin-gin-gin, jak uderzenia metalowych pałeczek? Może właśnie zaczęłam robić sweter na drutach? O, bo ja nawet w domu nie odpoczywam ani sekundy!

Wieczorem przychodzi do mnie narzeczony i wtedy moje imię zaczyna wrzeć! (*mruczy gardłowo*) Rrrregina! Wybucha dwa albo trzy razy w ciągu nocy. Narzeczony jest konduktorem na dalekich trasach, więc kiedy zasypia, słyszy jak stukają koła pociągu i moje obcasy, ka-ka-ka-kaka-ka-ka-ka...

Gumajka i Uriel znikają w oddali, słychać tylko coś, jakby stukanie obcasów lub laski, a może są to koła pociągu. Trudno powiedzieć.

Koniec